Wywiad Adama Pikula z Ludwikiem Błyszczakiem opublikowany w styczniowym numerze Przeglądu Pyskowickiego w roku 2021

Adam Pikul:

– Zacznijmy od cielesności. Zna Pan film „Motyl i skafander" o sławnym redaktorze, którego nieszczęśliwy wypadek zamknął w gorsecie swojego, sparaliżowanego całkowicie ciała, pozostawiając jasność i sprawność umysłu? Czuje się Pan podobnie?

Ludwik Błyszczak:

– Dzieło Juliana Schnabla oglądałem i nawet w roku 2011 na forum kanału Ale kino napisałem recenzję poświęconą tej niezwykłej filmowej opowieści. Jej bohater, Jean-Dominique Bauby, będąc bardzo aktywnym społecznie i zawodowo czterdziestoparolatkiem doznał udaru mózgu i odtąd mógł się porozumiewać z innymi ludźmi tylko mrugając lewym okiem. To nader krańcowy rodzaj uwięzienia w ciele. Moja niepełnosprawność jest znacząco inna, nie tak drastycznie dotkliwa, jednak i ja odczuwam ją jako zamknięcie ducha w cielesności. Każdy przypadek porażenia mózgowego wywołanego okołoporodowym niedotlenieniem jest inny. Również u mnie rezultaty takiego porażenia są specyficzne. Przede wszystkim mam znaczne ograniczenia w sprawności ruchowej, zwłaszcza rąk, co skutkuje rozmaitą zależnością od pomocy drugiej osoby, ale także nie mogę polegać na komunikacji niewerbalnej – na odpowiednich, tzn. takich jakich bym chciał, gestach ciała, dłoni, na mimice twarzy, intonacji głosu. Ten pozasłowny język w moim przypadku przekazuje wbrew mojej woli błędne informacje. A ludzie są na ogół wzrokowcami: oceniają

kogoś innego i tworzą sobie o nim wyobrażenie na podstawie tego, jak ten ktoś wygląda, jaki ma wyraz twarzy, oczu, ust, w jaki sposób się porusza i mówi. Dlatego jestem człowiekiem trudnym do prawdziwego poznania w bezpośrednim spotkaniu. Potrzeba wyjątkowego spojrzenia – patrzenia sercem – żeby ominąć całą tę zasłonę ciała i rozpoznać prawdziwe zarysy duszy. No i na szczęście jest jeszcze moja najbardziej ludzka moc, dla której podobna zasłona nic nie znaczy – moc pisanego i mówionego słowa.

– Jest Pan mieszkańcem Pyskowic, z racji choroby niemal więźniem czterech ścian, a można powiedzieć, że jednocześnie obywatelem świata. Ma Pan swoje konto na Facebooku, prywatną stronę internetową, udziela się w dyskusjach na wirtualnych forach. Czym jest dla Pana Internet?

– Internet ma dla mnie podwójną, bezcenną wartość.

Po pierwsze – jest platformą umożliwiającą naprawdę wolne spotkania z innymi ludźmi. Wprawdzie nic nie zastąpi realnych spotkań twarzą w twarz, ale – jak pisałem wcześniej – rodzaj mojej niepełnosprawności sprawia, że spotkanie takie bywa trudne, wymaga wyjątkowej inteligencji empatycznej u osoby, która mnie spotyka. Natomiast w Internecie problemy w komunikacji wynikające z cielesności przestają mieć znaczenie. Tutaj liczy się sam intelekt, samo swobodne spotkanie jednej duchowej obecności z drugą duchową obecnością poprzez iskrę słowa, spotkanie nie w realu, ale najzupełniej realne, bo odbywające się w czasie rzeczywistym bądź z niewielkim czasowym przesunięciem. I paradoksalnie: jeśli osoby pełnosprawne często lubią w internetowej sieci kamuflować swoją prawdziwą tożsamość, to ludzie tacy jak ja cieszą się, że nareszcie mogą dzięki tejże sieci pokazać siebie takimi, jakimi są naprawdę. Ponadto w Internecie znika problem odległości: mogę w tej samej chwili rozmawiać i z sąsiadem z drugiej klatki, i z przyjaciółką mieszkającą w Argentynie czy w Australii.

Po drugie – Internet to przeogromna skarbnica informacji. Jednak jeszcze zanim ją odkryłem, miałem to szczęście, że moi licealni profesorowie przekazali mi nie tylko fundament z solidnej, wszechstronnej wiedzy, ale także coś równie cennego: umiejętność korzystania z tej wiedzy i samodzielnego zdobywania następnych jej szczebli. Dlatego gdy płynę przez internetowy ocean wiadomości, staram się omijać ławice informacyjnych śmieci oraz niebezpieczne mielizny przekłamań i zwyczajnych kłamstw, a kiedy już dopłynę

do jakiejś rzetelnej biblioteki, umiem się zorientować, jaką szufladę z wiedzą otworzyć albo do jakiej półki z wiadomościami sięgnąć. Od zawsze lubię mieć wokół siebie wszystko poukładane – którą to skłonność ewidentnie odziedziczyłem po ukochanym tacie – i poza fascynacją mocą słowa lubię także matematyczne uporządkowanie i dokładność, nic zatem dziwnego, że od początku mojej przygody z Internetem – która zaczęła się dopiero gdy byłem już trzydziestoparolatkiem – zainteresowało mnie to, czego w dotychczasowym, oficjalnym kształceniu nie doświadczyłem, mianowicie wiedza informatyczna, zwłaszcza ta dotycząca przekazywania tekstów. Podążywszy za głosem tej wiedzy, poznałem od podstaw m.in. język HTML, co pozwoliło mi stworzyć w każdym szczególe swoją autorską stronę internetową. Dużą satysfakcję daje mi również poznawanie składania tekstu w systemie LaTeX oraz odkrywanie matematycznego wszechświata fraktali, o czym zapewne już Pan wie, poznawszy to, co na tej mojej stronie udostępniam.

– Z informacji na Pana stronie można się dowiedzieć, że zaczął Pan pisać w wieku 16 lat. Nagle przyszło natchnienie, czy zadziałał inny impuls?

– Zadziałał niezwykły podarunek od chrzestnego ojca – pamiętająca pewnie lata trzydzieste ubiegłego wieku maszyna do pisania marki Naumann-Ideal. To dzięki niej mogłem nareszcie – palcami stóp – zapisywać pierwsze opowiadania i wiersze. Co prawda już przedtem pisałem lewą ręką za pomocą długopisu albo grubego stolarskiego ołówka w zeszytach A4 i to tylko wtedy, gdy siadałem na podłogę, ale było to tak powolne i męczące, że w praktyce nieprzydatne do zapisywania dłuższych tekstów. Dopiero maszyna pozwoliła mi wkroczyć na ścieżkę pierwszych literackich prób i umożliwiła stopniowe wprawianie się w sztukę pisania. A co do natchnień... Miałem je od wczesnego dzieciństwa. Wyłaniały się razem z pierwszymi marzeniami, zamyśleniami nad światem, ludźmi, nad niezwykłością przyrody, razem z pierwszymi zauroczeniami, miłościami, spotkaniami i tęsknotami, a naprawdę: nie pamiętam chwili, w której nie byłbym w kimś zakochany. Bezcenne w tych natchnieniach były – i są takimi do dzisiaj – inspirujące książki, filmy, piękna muzyka.

– Z tego samego źródła można wywnioskować, że w sporej mierze ukształtowały Pana Pyskowice. Krajobraz tego miasta, jego zielone tereny. Pierwszą szkołą wiedzy o świecie były okoliczne pola i lasy, po których oprowadzał Pana tato, Pana pierwszy nauczyciel. Jak

Pan myśli, gdyby Pana rodzinnym miejscem były Gliwice, inaczej zorientowałyby się Pana zainteresowania, ścieżka życia?

– Interesujące pytanie. Gliwice to jedno z najpiękniejszych polskich miast, mające wyjątkowo ciekawą historię, kulturę oraz liczne grono niezwykłych, utalentowanych dusz, których korzenie tkwią w tej historii i kulturze. Na pewno byłbym odmiennie ukształtowanym człowiekiem, choć i też na pewno kimś, kogo ciągnie do pisania, gdybym się urodził i wyrastał w Gliwicach. Jednak wiele by pewnie zależało od tego, czy byłbym od urodzenia w pełni sprawny, czy nie, no i od tego, gdzie bym mieszkał: w ruchliwym centrum, na gwarnym osiedlu z wielkiej płyty, czy w jednej z pięknych dzielnic jednorodzinnych domów. Ale szczerze mówiąc: gdybym mógł wybierać, w którym z tych dwóch miast się urodzić, bez wahania wybrałbym Pyskowice. Gdzie indziej bowiem mógłbym się wychowywać w podobnie niezwykłej dzielnicy, w której czerwonoceglaste familoki mieszają się z półwiejskim krajobrazem pól, z krowami pasącymi się na miedzach, z pianiem kogutów nad ranem? Za nic bym nie pozamieniał wspaniałych podwórkowych przyjaźni z ulicy Kolejowej oraz tych wszystkich tam mieszkających dobrych sąsiadów.

– A teraz wraca Pan do „krain" z lat dziecinnych? Czy też, jeżeli ma Pan okazję wyjść z domu, ciągnie Pana w inne, bardziej „poetyckie" rejony miasta?

– Pyskowice – jak chyba każde miasto – rozwija się, idzie z duchem czasu, staje się coraz bardziej nowoczesne i coraz bardziej wygodne dla mieszkańców. Nie powiem, żebym z przyjemnością, raz po raz, nie odwiedzał odnowionego parku, nie przechadzał się po bogatej w sklepy ulicy Wojska Polskiego, czy nie odpoczywał na Placu Piłsudskiego. Należę wszakże do ludzi, którzy po kilku dekadach życia z coraz większą czułością traktują enklawy własnych wspomnień. Dlatego teraz najchętniej wracam – jak to Pan trafnie ujął – do krain z lat dziecinnych, do tych zakątków mojej małej pyskowickiej ojczyzny, które obecnie bądź są znacząco zmienione, bądź ich już po prostu nie ma. Często wspominam na przykład spacery z rodzicami i psem Sabą w letnie upalne popołudnia, przechadzki miedzą przez zadbane pola w kierunku ulicy Czechowickiej, za którą znajdowały się trzy dosyć duże, podłużne glinianki – nazywające się Bałem Pierwszym, Drugim i Trzecim – które były celem naszych rodzinnych pikników. Lubię wydobywać ze wspomnień wędrówki z tatą na stary cmentarz żydowski. Wówczas nie był ogrodzony i stapiał się

z okolicznym polem. Bezładnie porastały go drzewa, krzewy i wysokie trawy. Mimo tej gęstwiny, zazwyczaj nie było tam cienia: letnie słońce zdawało się prześwietlać go na wskroś, a w tym ostrym żółtym blasku drobinki kurzu, fruwające ważki i nitki pajęczyn migotały jak magiczne iskierki. W przestrzeni tego kirkutu odczuwałem jakby większą ciszę niż na zewnątrz. Prawie nie słyszało się samochodów, pomimo że niedaleko przebiegała ruchliwa autostrada. Lubiłem przystawać przy niektórych nagrzanych słońcem macewach, kłaść na nie rękę i rozmyślać o tajemniczych ludziach, którzy – wydawałoby się bardzo dawno temu – mieszkali w moim mieście. Będąc miłośnikiem dużych drzew w miejskim krajobrazie wspominam z sentymentem dawną ulicę Chopina, tak pięknie wtedy zadrzewioną. Pamiętam jak mocno zazdrościłem mieszkańcom tamtejszych bloków. Ze swoich okien na piętrach mogli sięgnąć ręką do wielkich, gęsto ulistnionych konarów, wśród których radośnie baraszkowały rozmaite świergoczące ptaki. A to tylko niektóre co cenniejsze obrazy z pyskowickiego skarbca mojej pamięci.

– A jak często wychodzi Pan na spacery?

– Lubię spacery, zwłaszcza spacery po Starych Pyskowicach. Gdy nie ma śniegu i lodu, które to zimowe warunki są dla mnie niebezpiecznym utrudnieniem w chodzeniu, gdy nie pada deszcz – bo po prostu nie utrzymam parasola – staram się spacerować codziennie, chociaż skrzywienie kręgosłupa dokucza mi od kilku lat już w tym stopniu, że co dwadzieścia minut muszę gdzieś na chwilę usiąść, dlatego udaję się zazwyczaj tam, gdzie mogę spotkać ławki. Chodzę dosyć sprawnie, ale nigdy nie samotnie. Nie tylko dlatego, że lubię towarzystwo. Zwyczajnie musi być zawsze ze mną ktoś, kto mnie lekko podtrzyma na większej nierówności terenu albo pomoże pokonać jakiś wyższy stopień.

– Z czego, oprócz doświadczania swojego najbliższego otoczenia czerpie Pan inspirację? Czy takim źródłem może być choroba, niepełnosprawność?

– O swoich znaczących inspiracjach już wspomniałem. Sama niepełnosprawność czy choroba jest dla mnie inspiracją – albo raczej – tematyką twórczości chyba w tym stopniu, w jakim byłaby, gdybym nie był niepełnosprawny: inspirowałaby jako jeden z przejmujących dramatyzmów życia. Jednak z całą pewnością stan niepełnosprawności wpływa na twórczość, stwarzając grunt dla pogłębionej empatii i prawdziwszego spojrzenia na innych

ale także fizycznie utrudniając sam proces tworzenia. Myślę, że gdybym nie doświadczył skutków niedotlenienia, czyli niesprawności ruchowej i zaburzonej komunikacji ze światem, pisałbym znacznie więcej niż teraz, a i same tematyczne akcenty byłyby w moim pisaniu inaczej rozłożone. Ale czy na pewno? Przecież dobrą i do głębi prawdziwą książkę, której bohaterem jest na przykład osoba cierpiąca na stwardnienie rozsiane, może napisać ktoś, kto sam tej choroby nie doświadczył. Czy źródła tworzenia nie są tajemnicą? Czy nie mają racji ci, którzy twierdzą, że prawdziwy autor czerpie przede wszystkim nie z doświadczenia życiowego, ale z tajemniczych głębin własnej duszy?

– Ważnym elementem Pana poezji jest Bóg. Nazwałby Pan swoją twórczość religijną?

– To prawda, że w wielu moich wierszach są odniesienia do Boga lub do rzeczywistości, która wykracza poza ten nasz materialny świat. Sam jednak nie przepadam za określeniem twórczość religijna czy poezja religijna. Według mnie poezja może być ciekawa albo nudna, intrygująca albo odpychająca, dotykająca prawdy albo kreująca piękne zmyślenia, inspirująca do życia albo zniechęcająca. Nader bym się ucieszył, gdyby choć jeden z czytelników – ateista lub agnostyk – po lekturze któregoś z moich wierszy powiedział sobie w duchu: Jestem niewierzący i żaden wiersz tego nie zmieni, ale w tym, co pisze ten autor, jest coś intrygującego, może nawet światełko prawdy.

– Czasami zdarza się, że osoby w Pana sytuacji, ciężko doświadczone, mają pretensje do losu. Albo Boga, jeżeli są wierzące. Czy miał Pan również w swoim życiu etap buntu? A może właśnie uprawianie twórczości jest jego wyrazem, ale skierowanym w inną stronę niż wygrażanie Stwórcy?

– Nie, nie miałem w swoim życiu etapu buntu i nawet mi na myśl nie przyszło, żeby wygrażać Stwórcy, a pragnienie pisania byłoby moim udziałem – tak sądzę – także wtedy, gdybym się urodził zupełnie zdrowy. Nie byłem rozgoryczonym buntownikiem, ale to nie znaczy, żebym nieraz nie odczuwał zwyczajnego żalu, że niektóre z darów życia – tak naturalne i pospolite dla innych – dla mnie są nieosiągalne. Nigdy nie pogodziłem się z niepełnosprawnością i przy najmniejszej nadarzającej się okazji najchętniej bym się jej pozbył. To jest moje marzenie – mieć normalne zdrowe ciało, bo choroba po prostu nie pozwala mi rozwinąć skrzydeł.

– Otrzymał Pan wyróżnienie w konkursie Mr. Disabled, którego ideą jest nagradzanie mężczyzn z niepełnosprawnością wykazujących wielką determinację w życiu m.in. czy społecznym i kulturalnym. To, co Pan robi, jest dla mnie fenomenem. Tworzy Pan literaturę używając komputera i palców nóg. Skąd w Panu tyle siły?

– Oj, dziękuję za miłe słowa! Gwoli prawdy muszę wszakże uściślić: od dekady piszę już ręką na specjalnej, powiększonej klawiaturze, natomiast stopą wciąż obsługuję trackball. Co do odpowiedzi na Pana ostatnie pytanie... Myślę, że nie różnię się od innych osób niepełnosprawnych, których w zdecydowanej większości cechuje nader ludzka moc życiowej przekory – w najbardziej pozytywnym znaczeniu tego słowa. Im bardziej bowiem są niepełnosprawni, im mocniej są dotknięci przez los jako więźniowie cielesności, tym bardziej chcą normalnie żyć i coś dobrego dawać z siebie innym, tym mocniej pragną doznawać piękna życia, walczyć z jego przeciwnościami i kochać.